

DYSKUSJA NAD HISTORIĄ PRL

*Krystyna Kersten*¹

Nie będzie to próba całościowego bilansu 45. lat Polski pod rządami komunistów, włączonej w imperialny system ZSRR. Za wcześnie na taki bilans, nie pozwala nań przede wszystkim obecny stan badań. Moim celem jest jedynie uporządkowanie pola dyskursu i sformułowanie podstawowych pytań, wokół których, jak sądzę, winna się toczyć dyskusja.

Zacząć wypadnie od stwierdzenia, skądinąd trywialnego, że spory o historię i dzieństwo PRL są uwikłane w konteksty ideologiczne, polityczne, moralne, psychologiczne, emocjonalne wreszcie. Stanowią element manipulacji polityków, lecz również odzwierciedlają położenie, stan umysłów i duchową kondycję milionów ludzi. Toteż rozdzielać należy trzy płaszczyzny: rzeczywistość 45. lat, jej dzisiejszą subiektywną percepcję społeczną oraz wizję kreowaną instrumentalnie dla potrzeb bieżącej walki politycznej. Pamięć peerelowskiej przeszłości jest zróżnicowana i zmienna, zależy od wielu czynników i podlega znacznym wahaniom. Zwrócić warto uwagę – obok uwarunkowań socjalnych, politycznych, ideologicznych w przeszłości i obecnie – także na czynnik demograficzny. W 1990 r. 59% ludności stanowili urodzeni przed 1945 r., 34% urodzeni między 1945 r. a 1975 r. Życiorysy 93% Polaków powyżej 14 lat wpisane są w historię państwa PRL; potrzeba obrony sensu własnego życia, podejmowanych wyborów, postaw i zachowań w różnych sytuacjach jest naturalna, psychologicznie zrozumiała. Upraszczając, ci którzy uwierzyli w komunistyczną utopię, ci którzy przystosowawszy się do niechcianej, ale realnie istniejącej sytuacji uczciwie, z ogromnym nieraz zaangażowaniem odbudowywali Warszawę, budowali Nową Hutę, pomnażali – w swoim pojęciu – bogactwo narodowe, wydobywali Polskę z wielowiekowego zafacowania cywilizacyjnego, służyli, jak lekarze, nauczyciele, społeczeństwu, rozwijali polską kulturę i naukę, ci wreszcie, którzy „władzy ludowej” zawdzięczali awans społeczny, materialny, kulturowy mniej są skłonni do totalnej krytyki PRL, oznacza ona bowiem zdeprecjonowanie zajmowanych postaw oraz zaprzecza obrazowi przechowywanemu w pamięci. Z kolei ludzie, którzy odżegnali się od współdziałania z władzą komunistów, zajmowali postawę oporną lub jawnie opozycyjną, płacąc za to represjami, a w najlepszym wypadku zmniejszeniem lub utratą życiowych i zawodowych szans, skazaniem na status obywateli drugiej kategorii, częściej będą postrzegali powojenne czter-

1. Wstępna wersja tego tekstu ukazała się w „Tygodniku Powszechnym” nr 20, 1994 (zob. „Spór o PRL – dyskusja w Tygodniku Powszechnym”, s. 304-305 niniejszego tomu).

dziestopięciolecie w czarnych barwach. Nie wolno oczywiście generalizować ani też wyprowadzać prostych zależności między doświadczeniem, wyborami i opcjami w przeszłości a oceną PRL. Istnieje wszelako wyraźna tendencja do wybiórczego traktowania rzeczywistości owych 45 lat, oświeclania jednych zjawisk, pozostawiania w cieniu lub minimalizowania innych. Jak w kalejdoskopie: widzimy obraz i kolor w zależności od jego ustawienia. To zaś jest uwarunkowane czynnikami ideologicznymi, politycznymi, społecznymi, psychologicznymi. Na temat związku wizji PRL z procesami ekonomicznymi i psycho-społecznymi wpisanymi w dokonującą się radykalną transformację systemową napisano już tak wiele, że wystarczy jedynie zasygnalizować ten problem. Mity o dobrodziejstwach PRL plewią się nierzadko także w środowiskach dawnej antykomunistycznej opozycji, wśród tych którzy czynnie walczyli z systemem.

Z wymienionych trzech płaszczyzn interesuje mnie pierwsza: rzeczywistość PRL. Pytanie zasadnicze, jakie należy postawić: czy czterdziestopięciolecie „Polski Podległej”, nawiązując do znanej książki Adama Próchnika *Pierwsze piętnastolecie Polski Niepodległej*, można przedstawić w oderwaniu od porządku wartości. Pytanie to ma wymiar filozoficzny, ale nie sposób uciec od niego podejmując dyskusję historyczną. Reprezentuję stanowisko bliskie wskazaniom Rankego, iż zadaniem historyka jest badanie *wie es eigentlich gewesen war* – rekonstruowanie przeszłości takiej jaką była, atoli jestem świadoma, że istnieją także inne podejścia, które w sporze o PRL zderzają się i będą się zderzać. Zresztą, nawet dążąc do maksymalnego obiektywizmu nie zdołamy całkowicie uwolnić się, jeśli nie od wartościowania to od porządkowania wedle określonych norm. Od tego, jaką wartość uzna się za fundamentalną, zależeć będzie w znacznym stopniu bilans PRL. Nawet w ujęciu wielowymiarowym, obejmującym takie podmioty jak państwo, naród, jednostka ludzka, lud pracujący, istotne jest, który z nich uznaje się za dobro najwyższe. Nie oznacza to relatywizowania prawdy historycznej. Jeśli na przykład stwierdzę, że z punktu widzenia polskiego interesu narodowego i państwowego wysiedlenie po II wojnie światowej Niemców i Ukraińców, choć sprzeczne z prawami człowieka było w ówczesnej sytuacji zasadne, nie relatywizuję prawdy, ale umieszczam ją w różnych porządkach normatywnych.

Dyskurs o historii PRL zacząć trzeba w moim przekonaniu od ustalenia podstawowych kategorii, które posłużą do skonstruowania syntetycznego obrazu. Wymieniłabym tu w pierwszym rzędzie suwerenność państwa, demokrację, praworządność, prawa człowieka, wolności obywatelskie, sprawiedliwość społeczną, tradycje kulturowe, swobody wyznaniowe, modernizację i awans cywilizacyjny, poziom życia, mentalność i poziom kultury polskiego społeczeństwa, stan elit, siły twórcze państwa i społeczeństwa. Ale nie wystarczy stwierdzić czy i w jakim stopniu PRL była państwem suwerennym, czy panujący system był totalitarny, czy niszczone i zniszczona została tkanka społeczna i kulturowa, czy dokonała się modernizacja i awans cywilizacyjny, czy też przeciwnie, relatywnie nastąpiła degradacja, jakie były następstwa – społeczne, ekonomiczne – komunistycznej wersji państwa opiekuńczego, czy system PRL sprzyjał samorealizacji jednostek czy je duchowo okaleczał. Dopiero kompleksowe potraktowanie wszystkich aspektów peerelowskiej rzeczywistości, zgłębienie istniejących między nimi zależności, może nas zbliżyć do zrozumienia tego rozdziału dziejów.

Można postawić pytanie: czy zasadne jest traktowanie okresu władzy komunistycznej jako integralnej całości? Czy był to przez 45 lat ten sam system? Obserwujemy dziś wyraźną tendencję do eksponowania cezury 1956 r. i różnic między czasami „staliniizmu” a Polską lat 1957–1989. Historycy, publicyści, politycy wywodzący się z kręgu PZPR skłonni są do wyodrębniania i gloryfikacji pierwszego okresu tzw. polskiej drogi do socjalizmu i przeciwstawiania rzekomo demokratycznych i patriotycznych rządów Gomułki totalitaryzmowi i narodowemu nihilizmowi ekipy Bieruta. Zabiegi te prowadzą do zamazywania istoty państwa PRL – zachodzące zmiany, acz ważne, nie naruszyły podstaw systemu jak i układu zależności od ZSRR, miały charakter ilościowy nie zaś jakościowy. Od 1944/45 r. po rok 1989/90 faktyczna suwerenność Polski pozostawała drastycznie ograniczona, acz zakres, formy i instrumenty podporządkowania w poszczególnych latach były różne, przy czym bynajmniej nie równało się to stopniowemu zwiększaniu obszaru autonomiczności. Przez cały ten czas Polska Partia Robotnicza/Polska Zjednoczona Partia Robotnicza sprawowała dyktatorską władzę; skrajnie scentralizowane, onipotentne, ideologiczne państwo „demokracji ludowej”, „dyktatury proletariatu”, „realnego socjalizmu” regulowało i kontrolowało wszystkie sfery życia publicznego. Przemiany mieściły się w ramach monocentrycznego ładu: politycznego, ekonomicznego, społecznego.

Spośród wielu problemów składających się na złożoną historię PRL skupić się zamierzam na trzech: zagadnieniu suwerenności, totalitarnego charakteru państwa oraz relacji między państwem/partią a społeczeństwem.

W świadomości społecznej funkcjonują – prawda, że w różnym natężeniu – dwie klisze; pierwsza ukazuje Polskę pod rządami komunistów jako państwo niesuwerenne (w skrajnej wersji: pod okupacją), druga minimalizuje podległość wobec ZSRR i przedstawia ją w porządku wyznaczonym przez ukształtowany po II wojnie światowej podział świata na bloki w skrajnej wersji przyrównuje się zależność Polski od Moskwy z zależnością Francji czy Włoch od Waszyngtonu. W rzeczywistości zagadnienie suwerenności i niepodległości jest bardziej złożone, tak w wymiarze międzynarodowym jak i wewnętrznym. *De jure*, jak wiadomo, Polska nie przestała być suwerennym podmiotem prawa międzynarodowego, jako taki uczestniczyła w międzynarodowej społeczności, utrzymywała stosunki dyplomatyczne etc. Niektórzy teoretycy prawa wprowadzają rozróżnienie między suwerennością a niepodległością; suwerenność jest wyznaczona przez stan prawny (*quod jus*), niepodległość – przez stan faktyczny (*quod exercitum*). Państwo mogło być przeto pozbawione niepodległości, zachowując z punktu widzenia prawa międzynarodowego znamiona suwerenności. Takie było położenie Polski po 1945 r. Dominacja ZSRR była realizowana w postaci władztwa pośredniego, opartego na dwóch podstawowych instrumentach: sile militarnej oraz polskich komunistach. O ich roli Jakub Berman w rozmowie z Teresą Torańską mówił otwarcie: „*Do Mikołajczyka nie docierało, że Związek Radziecki musi mieć Polskę bezpieczną, a więc taką, która nie będzie mu brykać, a więc w jakimś sensie całkowicie podporządkowaną*”. Zapewniali to jedynie komuniści. „[...] *między nami – stwierdzał Berman – polskimi komunistami a Związkiem Radzieckim istnieje podwójna zależność, nie tylko państwowo-polityczna, ale i ideologiczna*”. Zgodnie z radzieckim modelem politycznym komuniści polscy uważali,

iż „państwo to my”. „*Jesteśmy w tej sytuacji* – konstatował Aleksander Zawadzki w maju 1945 r. – *że kiedy mówimy „partia” mówimy również „państwo”, mimo że nie ma monopartii. Ale „my”, to także była część międzynarodowego ruchu komunistycznego, z centrum w Moskwie i Stalinem jako niekwestionowanym wodzem. Podwójna identyfikacja powodowała konflikty; zachodni dyplomaci spekulowali, czy polscy komuniści są bardziej Polakami, czy bardziej komunistami; dla nich samych, mimo istniejących pod tym względem różnic i sporów między poszczególnymi „frakcjami” w ramach PPR i PZPR, kontrowersje nie naruszały wspólnoty wartości i celów. Ten stan rzeczy pozostał w istocie rzeczy niezmieniony do 1989 r., mimo postępującej od 1956 r. stopniowej erozji ideologicznych więzi spajających „obóz socjalizmu”.*

Mechanizmy i procedury dominacji Centrum nad „państwami garnizonowymi”, jak je nazywał Edward Ochab, satelitami Moskwy – „marchiami imperium”, wedle określenia Edgara Morin, były wielopłaszczyznowe, od oficjalnych stosunków między państwowymi, poprzez kontakty o charakterze partyjnym, po agenturalne działania na różnych szczeblach. Rozszyfrowanie metod działania i funkcji poszczególnych ogniw łańcucha w poszczególnych okresach nie jest dziś możliwe. Nie znamy również skomplikowanej sieci powiązań czy to z ambasadą, czy z odpowiednimi instytucjami i osobami w Moskwie oraz wynikającego z tych powiązań wpływu na procesy decyzyjne. Po 1956 r. instrumenty podporządkowania uległy przekształceniom; mniej było bezpośredniej ingerencji (doradcy, oficerowie radzieccy w wojsku), wzrosło znaczenie takich instytucji jak Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej czy Pakt Warszawski, poszerzył się zakres autonomii władz w Warszawie. Ustały procesy unifikacyjne, zaprzestano dostosowywania instytucji i form życia publicznego do modelu radzieckiego, zrezygnowano z *pieriekowki dusz*, z radykalnego przeobrażenia mentalności i świadomości Polaków, co było połączone z niszczeniem narodowej tkanki kulturowej. To wszystko jednak nie naruszyło samej istoty systemu podległości w obrębie strefy radzieckiej dominacji; wystarczy wspomnieć zachowanie Sowietów wobec polskich przemian w 1956 r. i w latach 1980/1981, interwencję na Węgrzech, interwencję w Czechosłowacji. ZSRR był strażnikiem porządku narzuconego w 1945 r. Europie, wszelkie symptomy zagrażających temu porządkowi procesów były tłumione, zależnie od sytuacji: naciskami politycznymi, szantażem ekonomicznym, czy – gdy uznano to za konieczne – czołgami.

Owe podległe państwo było wszelako państwem polskim i jako takie postrzegali je większość obywateli. Brak identyfikacji z reżimem nie był równoznaczny z odrzuceniem państwa. Świadomość zależności od „Ruskich” w szczególny sposób współdziałała z wielopłaszczyznowymi związkami z organizmem, który był upostaciowaniem może ułomnej dla wielu, ale przecież polskiej państwowości. Po zdławieniu podziemia w końcu lat czterdziestych, aż po lata osiemdziesiąte państwo polskie pod władzą komunistów nie miało alternatywy. Konsekwentną emigrację wewnętrzną wybierali tylko nieliczni. Emigracja polityczna, jej instytucje, rząd RP na uchodźstwie nie były w skali masowej postrzegane jako „prawdziwa Polska”, przeciwstawiana „Polsce Ludowej”, PRL. Historyczne wzorce: zabór, okupacja, nie przystawały do rzeczywistości, w której wzrastały kolejne pokolenia. Dzieci chodziły do polskiej szkoły, przeciwnicy komunizmu bez oporów zajmowali eksponowane stanowiska, przyjmowali nagrody państwo-

we i państwowe odznaczenia. Wojsko było postrzegane jako polskie, choć jego dowódcy kształcili się w radzieckich uczelniach. Toteż mimo oczywistego przenikania się państwa i partii, w postawach i zachowaniach ludzi te dwie struktury znajdowały się jak gdyby na różnych poziomach. Owe rozdwojenie i niejednoznaczność w postrzeganiu państwa suwerennego/zależnego, naszego/onych miały daleko idące konsekwencje, były jednym z elementów moralnych spustoszeń, które wchodziły w skład „masy spadkowej” PRL.

Kolejne zagadnienie: totalitarny charakter państwa PRL jest od dawna przedmiotem sporów, których źródło leży w rozumieniu pojęcia totalitaryzmu oraz w szczególnej sytuacji Polski – państwa zdominowanego, w którym władzę sprawowała formacja. Państwa nie wyrosła z masowego ruchu, została narzucona i nie była zdolna do mobilizacji znacznych sił społecznych wokół swoich idei, haseł, symboli i czynów. Wyjątek stanowiła odbudowa kraju w drugiej połowie lat czterdziestych i – w mniejszym już stopniu – program modernizacji zawarty w planie 6-letnim. Wypracowane w latach trzydziestych i czterdziestych pojęcie, odnoszące się do dwóch systemów: nazistowskiego w Niemczech i stalinowskiego w ZSRR, rozwinięte przez Zbigniewa Brzezińskiego i Carla J. Friedricha w opublikowanej w 1956 r. książce *Totalitarian Dictatorship and Autocracy*, w teoretyczny model, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zarzucone zostało jako niewystarczające narzędzie opisu i analizy zjawisk socjo-politycznych we wszystkich krajach rządzonych przez komunistów. Przypomnę, że totalitaryzm, tak jak go zdefiniowali Brzeziński i Friedrich, będąc dwudziestowieczną postacią autorytaryzmu, zawierał następujące, wzajemne ze sobą powiązane cechy konstytucyjne: dyktatura monopartii, totalna ideologia regulująca wszystkie sfery egzystencji jednostki i zbiorowości, terror – fizyczny lub psychiczny realizowany przez partię i tajną policję, monopol informacji, centralne biurokratyczne zarządzanie całą gospodarką, pełna kontrola wojska. Wszystkie te elementy można niewątpliwie odnaleźć w Polsce lat 1945-1989, w mniejszym lub większym natężeniu i zakresie. Aliści generalizująca formuła: totalitarne państwo, totalitarna władza, odnosząca się do ZSRR i Polski, Chin i Węgier, Czechosłowacji i Kuby, a także do Polski lat 1949-1953 i do Polski lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, zaciera istotne różnice, nie pozwala na uchwycenie dynamiki i ewolucji systemu. Znaczenie dziedzictwa kulturowego i ciężenie historii, na które zwrócił uwagę m.in. Robert C. Tucker, jest w wypadku Polski szczególne. Mamy tu bowiem do czynienia z tworzeniem i funkcjonowaniem totalitarnego ustroju w oparciu o przemoc zewnętrzną, bez głębszych korzeni: ekonomicznych, społecznych, psychologicznych. Toteż totalitarny system był w Polsce od zarania ułomny, pozbawiony wewnętrznych sił napędowych. PZPR w ograniczonym stopniu, przede wszystkim w latach 1949-1956, odpowiadała modelowi totalitarnej monopartii z charyzmatycznym przywódcą na czele, a i wtedy rodziły się światła odbitego światła. Ideologia, jeśli nie liczyć wąskich kręgów wyznawców „Nowej Wiary” w okresie apogeum stalinizmu, nie przeniknęła w głąb społeczeństwa, pozostała atrybutem oficjalnego świata przedstawionego, napotykając zaporę w postaci religijności i narodowej tożsamości, ukształtowanej przez wieki. Wszelkie próby przeorania zbiorowej świadomości, unicestwienia tradycyjnych wartości, norm, wzorców, aby zastąpić je nowymi, „socjalistycznymi”, wysiłki – zwłaszcza w latach 1949-1956 – zmierzające do wychowania

„nowego człowieka”, skończyły się niemal zupełnym fiaskiem. Opór tkanki kulturowej był tak silny, że zamiast skomunizowania narodu postępowało „unarodowienie komunizmu”. W znacznym stopniu instrumentalne, ale także rzeczywiste. Mimo represji, izolacja informacyjna nigdy nie była pełna, monopol państwa/partii w środkach masowego przekazu był łamany przez radiostacje zachodnie, słuchane, jak to ukazują najnowsze badania, przez wszystkie warstwy społeczne, mimo grożących represji. Terror, nawet w okresach największego nasilenia, nie zdławił opornych zachowań, które owocowały cyklicznymi wybuchami buntu. Niepowodzenie kolektywizacji sprawiło, że własność państwowa nie objęła znacznej części gospodarstw rolnych, choć zostały one wciągnięte w mechanizm centralnego planowania i zarządzania.

System totalitarny w Polsce, budowany stopniowo w latach 1945–1955, do 1956 r. począł ulegać postępującemu rozkładowi, z czego niektórzy, m.in. Andrzej Walicki, wyciągają wniosek, że „Totalitaryzm szybko przekształcał się w ustrój nie dający się wprowadzić pogodzić z demokracją polityczną, ale pozostawiający coraz więcej miejsca wolności jednostki [...]” (*Zniewolony umysł po latach*, Warszawa 1993, s. 251). Poglądowi temu przeciwstawiłabym tezę, iż w Polsce komunistyczny totalitaryzm nigdy nie osiągnął pełnego kształtu, ale też mimo dekompozycji, jakiej ulegał, ewolucyjne zmiany, osłabiające rygorystyczny – ideologiczny, polityczny, ekonomiczny, poszerzające enklawy swobody, nie naruszyły porządku opartego na niezmiennych w swej istocie podstawach ideologicznych, politycznych, instytucjonalnych i ekonomicznych.

Niedostatek wewnętrznych sił napędowych systemu wiązał się z charakterem relacji między władzą państwa/partii i polskim społeczeństwem. Były one bardzo złożone i nie sposób je zawrzeć w uproszczonych schematach: większość narodu opierała się zniewoleniu czy też wszyscy, z niewielkimi wyjątkami, byli uwikłani w peerelowską rzeczywistość. Wydaje się, że opisywany przeze mnie w odniesieniu do lat 1944/5 – 1956 proces przenikania się, w skali masowej, oporu i przystosowania miał miejsce również w późniejszym okresie. W rezultacie, w wymiarze duchowym i behawioralnym wytwarzał się swoisty amalgamat, na który składała się tradycyjna tkanka kulturowa oraz treści wnoszone przez system. System totalitarny tworzony stopniowo, z przyspieszeniem rosnącym od 1947 r., po niespełna dziesięciu latach, nie osiągnąwszy pełni, utracił swą dynamikę i począł z wolna ulegać erozji pod ciśnieniem polskiej tkanki kulturowej, której istotne części składowe stanowiły narodowe tradycje, katolicyzm i przywiązanie do wiary ojców, związki z kulturą europejską, przywiązanie chłopów do ziemi. Czy przetrwanie tych wartości włączyć do dziedzictwa PRL, czy też przeciwnie, uznać, że zachował je naród wbrew państwu/partii? Każda jednoznaczna odpowiedź byłaby moim zdaniem tak dalece uproszczona, że aż fałszywa.

Ostatnia sprawa, na którą chciałabym zwrócić uwagę, dotyczy punktów odniesienia, jakie będziemy stosować dokonując bilansu historii PRL, czy to w poszczególnych dziedzinach, czy w ujęciu globalnym. Możliwe są różne podejścia, z których każde wiąże się z metodycznymi trudnościami, każde też pociąga za sobą niebezpieczeństwo istotnych zafałszowań. Można, co nagminnie czynili politycy i propagandyści PPR, potem PZPR, dziś – Sojuszu Lewicy Demokratycznej, dokonywać porównań z punktem wyjścia – z Polską międzywojennego dwudziestolecia, z krajem zrujnowanym wojną.

Takie bilanse, zwłaszcza przy odpowiednim doborze wskaźników, mogą wykazać wysoką wartość „ma” po stronie „Polski Ludowej”. Fakty i procesy mające zresztą mniejsze lub większe pokrycie w rzeczywistości, by wymienić odbudowę Warszawy, awans społeczny, wzrost potencjału przemysłowego, urbanizację, likwidację analfabetyzmu, powszechną oświatę na poziomie podstawowym, zmniejszenie dystansów materialnych i cywilizacyjnych w społeczeństwie, wyizolowane z całokształtu procesu historycznego, oderwane od szeroko pojętych kosztów z nimi związanych przywoływane były (i są) jako legitymacja rządów komunistów. Wykazywany w różnych dziedzinach przyrost utożsamia się z postępem, gdy częstokroć był to w istocie rzeczy postęp na drodze prowadzącej ku zahamowaniu rozwoju, pogłębianiu zacofania, degradacji. Gorzej jeszcze dla PRL wypadają porównania systemu władzy i zakresu wolności obywatelskich, nawet jeśli się uwzględni narastające w latach trzydziestych tendencje antydemokratyczne i nacjonalistyczne. Tu można tylko mówić o „postępie” w postaci zastąpienia ułomnego pluralizmu totalitarną w założeniu dyktaturą partii komunistycznej i likwidacją swobód demokratycznych jak też realizowaniem przez komunistów marzenia nacjonalistów – państwa jednonarodowego.

Inną perspektywę wyznacza analiza „krajobrazu po PRL” – stanu państwa i społeczeństwa AD 1990. Wówczas dziedzictwem PRL w sferze ekonomicznej będzie narosłe przez 40 lat zacofanie technologiczne, drastyczny niedorozwój infrastruktury, struktura przemysłu, mała mobilność siły roboczej wynikająca po części z nawyków, ale przede wszystkim z sytuacji mieszkaniowej, poziom i umiejętności kadry menedżerskiej, zacofanie rolnictwa, wreszcie wielomiliardowy dług, otrzymany w spadku po okresie gierkowskiego sztucznego boomu, który zafundowano nam w momencie, gdy gospodarka ZSRR i państw „realnego socjalizmu” już się poczyniała załamywać. Zniszczone zostało środowisko naturalne. Drastycznie niski jest taki wskaźnik poziomu cywilizacyjnego jak długość życia. W sferze mentalności mamy do czynienia z dewastacją etosu pracy, zanikiem inicjatywy, wyuczoną bezradnością i wynikającymi z nich postawami roszczeniowymi. Równocześnie z konserwacją tradycyjnego modelu polskości, utrzymywaniem się ksenofobii i nacjonalistycznych ciagot, w części społeczeństwa dokonała się erozja takich wartości jak miłość ojczyzny, gotowość służby, poczucie odpowiedzialności za kraj. Nastąpiła degradacja prawa, zanik kultury prawnej. W sferze politycznej 45 lat dyktatury partii komunistycznej w różnych jej stadiach, od „demokracji ludowej”, poprzez „stalinizm” do „realnego socjalizmu” wpłynęło na zanik demokratycznej kultury politycznej zarówno w elitach, jak i w społeczeństwie. Utrzymująca się alienacja władzy jest nie tylko konsekwencją niewątpliwych „grzechów politycznych” solidarnościowych elit, ma znacznie głębsze korzenie. Formowała się przez dziesięciolecia, będąc produktem najpierw postrzegania w znacznej części społeczeństwa władzy komunistów jako obcej, zaś – po 1956 r. – nie identyfikowania się z nią i rosnącego przeciwieństwa „my” – „oni”.

Bilans zamknięcia okresu – mówiąc umownie – PRL należałoby sporządzić w każdej dziedzinie życia społecznego, przy czym na pewno nie składałby się on wyłącznie z negatywów. Słowo „bilans” nie jest tu zresztą najbardziej właściwe, bo w dziedzictwie PRL „winien” i „ma” tak dalece się przenikają, iż niejednokrotnie zjawiska negatywne i pozytywne są ze sobą nierozzerwalnie związane. Wynikało to z samej natury systemu, który skutek unicestwienia rynku, skrajnej centralizacji domeny publicznej, zastąpie-

nia autentycznych procedur demokratycznych atrapami wyborów, sejmu, partii politycznych, monopolistycznej wszechwładzy partii został pozbawiony mechanizmów regulacyjnych zapewniających homeostazę. Efektem tego była postępująca niewydolność i narastający proces rozkładu reżimu. W konsekwencji, wiele projektów i działań mieszczących się w szeroko pojętej modernizacji, realizowane było ułomnie, pociągało ujemne skutki uboczne, prowadziło w istocie rzeczy do pogłębienia cywilizacyjnego zacofania i dewastacji. Zagrożenie środowiska naturalnego, procesy migracyjne z ich wielorakimi skutkami społecznymi, towarzyszące procesom industrializacji i urbanizacji, powstanie społeczeństwa masowego były nieuchronną komponentą współczesnego świata niezależnie od panującego ustroju ekonomicznego i politycznego. W Polsce wszelako spłot różnych czynników sprawił, że koszty były niewspółmierne do osiągniętych pozytywnych rezultatów, które *nota bene* nierzadko okazywały się z punktu widzenia rozwoju kraju pozorne. Badania będą musiały wykazać jak nakładały się na siebie i wzajemnie oddziaływały ogólnocywilizacyjne procesy, doktryna komunistyczna i system gospodarki centralnie zarządzanej oraz zewnętrzny układ zależności od ZSRR. Warto byłoby też pokusić się o kompleksową analizę, która w oparciu o odpowiednie wskaźniki pokaże o ile nasz dystans w stosunku do różnych rejonów Europy – Wielkiej Brytanii i Francji, Włoch i Hiszpanii, Grecji i Portugalii – powiększył się (lub ewentualnie zmniejszył) w ciągu 45 lat, jak przedstawia się on w momencie upadku komunizmu i rozpoczęcia transformacji ustrojowej oraz jakie elementy zastane hamują, jakie zaś być może będą sprzyjać wyjściu z zapaści, w jakiej Polska się znalazła. Obecnie operujemy ogólnikami lub w najlepszym wypadku cząstkowymi porównaniami dobieranymi mniej lub bardziej dowolnie.

Reasumując: historię 45 lat władzy komunistów należy rozważać w kontekście przenikających się wzajemnie czynników – kulturowego podłoża, doktrynalnych założeń wprowadzanego ustroju oraz zewnętrznych zależności. Dotyczy to każdego segmentu społecznej rzeczywistości. W tym sensie PRL stanowi kolejne ogniwo długiego łańcucha narodowych dziejów. Prawda, że ogniwo szczególne, albowiem położenie Polski po II wojnie światowej nie miało precedensów.

Jerzy Eisler

Poważna, przekonująca i oparta na naukowych przesłankach odpowiedź na powyższe pytanie jest niezwykle trudna, o ile na obecnym etapie historycznego poznania w ogóle możliwa. Trzeba przy tym stale pamiętać, że – jak dotąd – publicznie wypowiadali się na ten temat przede wszystkim politycy i publicyści, którym na ogół, choć chyba nie zawsze, przyświecały doraźne cele polityczne. W zależności od miejsca zajmowanego w życiu publicznym dziś i w niedawnej przeszłości jedni chcą akcentować pozytywne dorobek Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej – jej rzeczywiste i te mocno dyskusyjne osiągnięcia, inni zaś są skłonni wydobyć głównie to wszystko, co było w niej złe, bezsensowne, a nierzadko po prostu zbrodnicze. Częściowo świadome a częściowo nieświadome tworzone są więc dwie wizje PRL: „biała” i „czarna”, przy czym celem

sporów i dyskusji o bilans i ocenę czterdziestopięciolecia dość rzadko jest dążenie do pewnego zobiektywizowania zjawiska – fenomenu, któremu na imię Polska Ludowa. W tego typu rozważaniach bardzo często dominują emocje; równie powszechny jest brak tolerancji dla poglądów odmiennych od własnych. Nierzadko też demagogii towarzyszy brak dobrej woli. W ten sposób z jednej strony otwiera się pole do bezkrytycznego gloryfikowania okresu PRL, z drugiej strony do jego kompletnego dezawuowania, a w przypadkach skrajnych w ogóle wymazywania z historii Polski.

Dla obrońców dobrej pamięci PRL okres ten jawi się wyłącznie jako epoka odbudowy kraju ze zniszczeń wojennych, zagospodarowania i zintegrowania ziem zachodnich i północnych, likwidacji analfabetyzmu, rozwoju oświaty, kultury i nauki, industrializacji i modernizacji Polski, awansu cywilizacyjnego milionów ludzi (głównie młodych) pochodzących ze wsi i małych miasteczek itd. W tej wizji nie było oczywiście miejsca na zbrodnie, błędy i nieprawości. Znikały sfingowane procesy polityczne, brutalne metody śledcze, skrytobójcze mordy dokonywane przez „nieznanych sprawców”, strzelanie do demonstrantów w Poznaniu w 1956 r., na Wybrzeżu w 1970 r. oraz w stanie wojennym, osławione „ścieżki zdrowia” i oszczerce kampanie w środkach masowego przekazu niejednokrotnie wymierzone w ludzi o ogromnych zasługach dla Polski, nieracjonalna i nieefektywna gospodarka nakazowo-rozdzielcza, dewastacja środowiska naturalnego, moralne spustoszenie wywołane przez system – efekt uboczny życia w zakłamanym świecie „dwójmyślenia”.

Druga strona zwykle postępowała podobnie, koncentrując się niemal wyłącznie na „czarnych” aspektach czterdziestopięciolecia. Jeśli więc wspomniano o likwidacji analfabetyzmu, to na ogół dodawano, że towarzyszyła temu indoktrynacja i sowietyzacja polskiego społeczeństwa. Owszem, powiadano, wydawano tanie książki w masowych nakładach, ale tylko książki niektórych autorów, w tym jakże często radzieckich, równocześnie wielu innych polskich wybitnych twórców pozostających na emigracji w praktyce skazując na niebyt w oficjalnym życiu umysłowym kraju. Dokonano uprzemysłowienia, ale za cenę niewspółmiernych kosztów społecznych, (rozbicie tradycyjnych więzi rodzinnych, lokalnych, środowiskowych) oraz dewastacji ekologicznej Polski. Gdy mowa o odbudowie kraju ze zniszczeń wojennych i zagospodarowaniu ziem zachodnich i północnych, nie bez racji dodawano pytanie – a czy jakkolwiek inny rząd polski mógłby nie podjąć się tych wyzwań i nie uczynić tego? Zresztą – dodawano – było to zasługą całego społeczeństwa, a nie władzy narzuconej Polsce przez Józefa Stalina.

W tej drugiej, „czarnej” wizji PRL akcentowano szczególnie niehumanitarny charakter systemu, koncentrując uwagę na jego zbrodniach i nieprawościach, zwłaszcza (ale nie tylko) w okresie stalinowskim. Na ogół podkreślano niesuwerenny charakter państwa polskiego uzależnionego od Związku Radzieckiego i podporządkowanego jego strategicznym interesom. Polskość PRL była zresztą wielokrotnie kwestionowana; niekiedy zaś można było spotkać pogląd, że PRL w ogóle nie była samoistnym państwem, lecz jedynie częścią zewnętrzną radzieckiego imperium. Jednocześnie niektórzy zwolennicy „czarnej” wizji PRL w zapamiętaniu polemicznym wypowiadali sady i opinie nieprawdziwe, przesadnie wyostrome, czasem po prostu niedorzeczne. Można więc było usłyszeć, że czterdziestopięcioletni okres rządów komunistycznych bardziej zniszczył

Polskę niż okupacja hitlerowska. Można też było usłyszeć wypowiedziany publicznie pogląd, w myśl którego członkowie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej byli gorsi od morderców NKWD z Katynia. Można było wreszcie dowiedzieć się, że – zdaniem wypowiadającego te słowa – komuniści nie są ludźmi. Nieodparcie nasuwa się złośliwe pytanie, a więc kim lub czym? – roślinami? zwierzętami? rzeczami? Naturalnie tego typu nieprzemyślane i wręcz nieodpowiedzialne sądy „usztyniały” drugą stronę, która bez oporów mogła przystąpić do kontrofensywy i podjąć publiczną akcję idealizacji „epoki PRL”, jako okresu historycznego, w którym nie było bezrobocia, dzieci jeździły na kolonie, a dorośli na wczasy pracownicze, oświata i służba zdrowia naprawdę i w pełnym zakresie były bezpłatne, nie było tylu afer co dziś (nie dodają oni naturalnie, że opisy wszelkich patologii społecznych przez cały okres Polski Ludowej poddane były surowej działalności cenzury prewencyjnej, a więc siłą rzeczy do opinii publicznej przedostawały się tylko niektóre, a i to mocno ocenzone informacje), ulice były bezpieczniejsze: nie było zwłaszcza tylu ciężkich przestępstw, nie panoszyły się praktycznie bezkarnie rozmaite mafie. W ostatnim przypadku nie dodawano oczywiście, że w odróżnieniu od dzisiejszej Polski, PRL była przez cały okres swego istnienia państwem policyjnym i zarazem państwem zamkniętym, zwłaszcza do końca lat sześćdziesiątych mocno odciętym od świata zewnętrznego.

Wydaje się, że nadszedł najwyższy czas, aby próbę odpowiedzi na pytanie, czym była PRL, podjęli historycy, politolodzy, prawnicy, socjologowie. Niniejszy tekst w żadnym razie nie rości sobie pretensji do udzielenia rozstrzygających odpowiedzi. Wcale zresztą nie jestem pewien, czy byłoby to w ogóle możliwe. Jest to tylko mój własny głos w dyskusji na ten temat, autorska propozycja spojrzenia na problem, przy czym rozważania zacząć chyba należy od określenia i doprecyzowania pewnych pojęć.

Najwięcej kontrowersji wywołuje charakter władzy państwowej, jaka utrzymywała się w Polsce w latach 1944–1989. Zacząć tedy wypada od definicji państwa. W tym celu zajrzałem do II tomu wydanego w 1979 r. i następnie wielokrotnie wznawianego *Słownika języka polskiego*. Znajdująca się tam definicja państwa pochodzi z „minionego okresu”, ale ponieważ właśnie PRL jest przedmiotem moich rozważań, uważam, że można się nią posłużyć. Państwo jest tam definiowane jako „organizacja polityczna obejmująca zakresem swojego działania ogół członków społeczeństwa zamieszkującego określone terytorium, istniejąca dla zapewnienia panowania politycznego klasie panującej pod względem ekonomicznym i wyposażona w tym celu w zorganizowany aparat przymusu”.

Jeżeli potraktować tę definicję serio, to nieodparcie ciśnie się pytanie, jaką klasę społeczną należałoby uznać w PRL za panującą ekonomicznie i politycznie? Odpowiedź nasuwa się sama: oczywiście klasę robotniczą. Wszak było to już zaznaczone w samej nazwie partii hegemonistycznej (Polska Partia Robotnicza, a następnie Polska Zjednoczona Partia Robotnicza). Trudno też zapomnieć, że przez lata wiele prawiono o sojuszu robotniczo-chłopskim, a nie chłopsko-robotniczym, nie mówiąc już o zupełnym pomijaniu innych klas społecznych, a zwłaszcza inteligencji. Równie często mowa była o „dyktaturze proletariatu”, cokolwiek by określenie to znaczyło. Zresztą latem 1980 r. stało się ono pretekstem do sformułowania żartobliwego powiedzonka, iż rozmowy w strajkujących zakładach prowadził „proletariat z dyktaturą proletariatu”.

Być może więc „klasa robotnicza” faktycznie była klasą panującą politycznie i ekonomicznie w PRL, ale w innym sensie niż ujmowali to klasycy marksizmu. To z jej protestami i strajkami musiały się wszak liczyć kolejne ekipy polityczne, w każdym razie od połowy lat pięćdziesiątych. W wyniku robotniczych protestów z 1956, 1970, 1980 od razu lub po kilku miesiącach dochodziło do zmiany na stanowisku I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR i przynajmniej częściowej wymiany rządzącej elity, połączonej zwykle z proklamowaniem kolejnej „odnowy”. W 1976 r., choć nie doszło do zmian personalnych, robotnicy wymusili na władzy cofnięcie przygotowanej, a *de facto* już wprowadzonej podwyżki cen – co było bezpośrednią przyczyną protestu. Trudno także zapomnieć, że dwie fale strajków z 1988 r. doprowadziły do „okragłego stołu” i przemian ustrojowych zainicjowanych w 1989 r.

Wszelako na problem klasy dominującej w PRL można też spojrzeć inaczej, na przykład tak, jak w 1964 r. uczynili to Jacek Kuroń i Karol Modzelewski, którzy wyodrębnili „centralną biurokrację” decydującą w praktyce o wszelkich sferach życia publicznego. Dziś częściej posługujemy się pojęciem „nomenklatury” na określenie mniej więcej tej samej grupy. W przeszłości sporą popularność zyskało też wyrażenie „właściciele Polski Ludowej”. W tym ostatnim przypadku może lepiej byłoby posługiwać się określeniem „beneficjenci Polski Ludowej”, przy czym należałoby rozróżnić tych rozdających owe dobra, przywileje, stanowiska (dysponujących siłą rzeczy większym zakresem władzy, a tym samym ponoszących większą odpowiedzialność), od tych, którzy korzystali – w różnym zakresie i w rozmaity sposób – z ich łaskawości i hojności.

Jak widać, wyodrębnienie „klasy panującej” wcale nie jest zadaniem takim łatwym, jak mogłoby się w pierwszej chwili wydawać. Może ktoś zresztą powiedzieć a w ogóle po co to robić? Lepiej zastanowić się nad formą ustrojową i pokusić o odpowiedź na pytanie, jakiego typu państwem była PRL? Otóż i na to pytanie jest niezwykle trudno precyzyjnie odpowiedzieć. Znowu mamy do czynienia z – celowym lub nie – pomieszaniem pojęć. Raz władza komunistyczna chciała uchodzić za twardą jak stal i wówczas mowa była o „dyktaturze proletariatu”, innym razem świadoma negatywnej konotacji słowa „dyktatura” i pozytywnej wyrażenia „demokracja” określała system rządów panujący w Polsce i w innych krajach, które znalazły się po II wojnie światowej w strefie radzieckiej dominacji, mianem „demokracji ludowej”. Pleonazm ów został już wielokrotnie poddany analizie i w efekcie ośmieszony, nie ma więc potrzeby dłużej się nad nim zatrzymywać. Warto może tylko dodać, że miał on chyba – niezależnie od intencji jego twórców – służyć zamazywaniu istoty systemu panującego w tej części Europy przez 45 lat.

W rzeczywistości bowiem przez cały ten okres w Polsce i w innych krajach regionu mieliśmy do czynienia z władzą dyktatorską, antydemokratyczną i antyliberalną. Naturalnie w różnych latach stopień represyjności reżimu był zmienny; różnił się też w poszczególnych krajach. PRL nie bez kozery nazywana czasem bywała „najweselszym barakiem w obozie socjalistycznym”. Nie ulega wątpliwości, że pod względem represyjności PRL ustępowała innym „państwom bloku”, a przede wszystkim represyjności systemu w samym Związku Radzieckim.

Również w Polsce charakter władzy dyktatorskiej ulegał stopniowym zmianom. Dziś często można usłyszeć, iż było to państwo totalitarne. Ale czy rzeczywiście, czy w każ-

dym okresie swego istnienia? Otóż nie sędzę, by tak można było powiedzieć. Pojęcie totalitaryzmu ma swoją konkretną historyczną konotację. Do naukowego języka zostało wprowadzone w celu znalezienia pewnego wspólnego mianownika dla ludobójczych reżimów stalinowskiego i hitlerowskiego. Koncept totalitarny nie jest zresztą jedynym, przy pomocy którego próbowano analizować istotę komunizmu, nazizmu i faszyzmu. Ma on wielu swoich zwolenników, ale ma też sporo zaprzysięgłych przeciwników, którzy nie bez pewnej racji wskazują, iż w pełni totalitarny reżim na szczęście nigdy i nigdzie nie zaistniał, jeśli nie liczyć naturalnie wizji George'a Orwella. Zdaniem niektórych badaczy nawet III Rzesza, ZSRR pod rządami Stalina czy Chiny Mao Tse-tunga nie były państwami w pełni totalitarnymi, choć naturalnie niebezpiecznie zbliżyły się do „ideału”. Z wielu powodów trudno wspomniane wyżej państwa porównywać z Polską, zwłaszcza po 1956 r. Jeśli ktoś chce określić Polskę z lat siedemdziesiątych czy połowy lat osiemdziesiątych tym samym pojęciem „totalitaryzm”, którym nazywamy często Niemcy Adolfa Hitlera, czy stalinowski Związek Radziecki, to podejrzewam w tym albo złą wolę, albo niewiedzę, albo chęć „przyłożenia czerwonemu” z powodów czysto politycznych.

Tymczasem na pewno warto się zastanowić poważnie nad tym, czy i ewentualnie w jakich latach PRL można by z całą odpowiedzialnością za słowo mówione i drukowane nazwać państwem totalitarnym? Otóż nie ulega najmniejszej wątpliwości, że najwięcej cech typowych dla wszelkich reżimów totalitarnych można dopatrzeć się w Polsce Ludowej w pierwszym dziesięcioleciu jej istnienia. Wtedy to najbardziej w całych swych dziejach zbliżyła się ona do owego totalitarnego „ideału”, choć nigdy (nawet wówczas) nie nastąpiło to w takim stopniu, jak w trzech wspomnianych wyżej państwach. W żadnym razie nie może to zresztą stanowić usprawiedliwienia dla ludzi rządzących wówczas Polską – wszak zła, nieprawości i zbrodni było tu w tamtych latach i tak ponad miarę.

Inna sprawa, że w systemie, jaki ukształtował się w Polsce po II wojnie światowej (zwłaszcza w latach stalinizmu) można wskazać na wiele elementów typowych dla wszelkich reżimów totalitarnych: rozbudowany ponad realne potrzeby państwa aparat przymusu, militaryzacja życia publicznego, stałe poszukiwanie wroga wewnętrznego („reakcja”, „kułacy”, potem „rewizjoniści”, „syjoniści” itd.) i zewnętrznego („zachodni Niemcy rewizjoniści”, „amerykańscy imperialiści”, „międzynarodowy syjonizm”, itd.), próby oddziaływania państwa na wszystkie dziedziny życia publicznego, dążenie do stworzenia „nowego człowieka socjalizmu” i wywieranie wpływu na wszelkie sfery jego życia, podejmowanie wysiłków na rzecz zmonopolizowania sceny politycznej wyrażające się między innymi budową scentralizowanego i kierowanego z jednego ośrodka systemu raczej agitacji i propagandy niż informacji, podporządkowanie gospodarki dogmatom ideologicznym i politycznym, funkcjonowanie surowej cenzury prewencyjnej, wytworzenie i narzucenie społeczeństwu nowego języka dyskursu publicznego (nowomowa) itd. Listę tę można by znacznie wydłużyć.

Trzeba zresztą pamiętać, że od połowy lat pięćdziesiątych dynamika utworzonego w Polsce systemu zaczęła stopniowo maleć i tracił on powoli swoją ostrość i drapieżność. I choć proces ten przebiegał krętymi drogami i nie bez zahamowań, to jednak już nigdy (nawet w stanie wojennym) nie powrócono do „totalitarnych przymiarek” z okresu stalinowskiego.

Przełomowy w tym zakresie był Październik 1956, chociaż badacze nie są zgodni, na ile ów przełom był rzeczywisty i na ile trwały. Osobiście sędzę, że to jednak bardzo ważna cezura w powojennych dziejach Polski. Jeśli więc PRL w jakimkolwiek okresie swego istnienia zasługiwała na miano państwa totalitarnego, to była to właśnie Polska przedpaździernikowa. Dla okresu późniejszego – jak się wydaje – lepsze byłoby określenie reżim autorytarny. Kwalifikacji takiej mogłaby też sprzyjać autorytarna osobowość I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki. Być może jednak w ślad za jednym z australijskich badaczy najlepiej byłoby określić system panujący w PRL jako „państwo monoorganizacji”.

Wydaje się ono tym lepsze, że przecież przez cały czas mówimy o państwie o ograniczonej suwerenności. PRL w żadnym okresie swego istnienia nie była wszak państwem w pełni suwerennym, choć stopień podległości i zależności od Związku Radzieckiego był w różnych czasach rozmaity: od dyktatu i pełnej ingerencji nawet w najdrobniejsze sprawy w czasach stalinowskich, po „propozycje” i „sugestie” wysuwane przez Michaiła Gorbaczowa w końcu lat osiemdziesiątych. Formy i mechanizmy tej podległości ulegały zresztą zmianom. Można chyba powiedzieć, że do 1956 r. dominowała raczej podległość bezpośrednia. Radziecki marszałek Konstanty Rokossowski był ministrem obrony narodowej, a na wielu eksponowanych stanowiskach w Wojsku Polskim oraz aparacie bezpieczeństwa znajdowali się radzieccy oficerowie w polskich mundurach oraz oficjalni doradcy, którzy w rzeczywistości często byli autentycznymi decydentami. Stalin telefonicznie instruował Bolesława Bieruta w najdrobniejszych sprawach, sam też zapoznał się z rosyjskojęzyczną wersją przygotowywanego tekstu Konstytucji PRL, na który własnoręcznie naniósł ponad 50 poprawek; kierownictwo PPR/PZPR wielokrotnie wzywane było na Kreml, gdzie radzieccy przywódcy (a zwłaszcza sam Stalin) udzielali szczegółowych instrukcji i wydawali polecenia, co należy czynić. Jednocześnie Stalin nigdy nie odwiedził osobiście powojennej Polski, jak i żadnego innego państwa satelickiego w Europie Środkowo-Wschodniej. W ogóle podróżowanie nie należało chyba do jego ulubionych zajęć, jako że po objęciu najwyższych stanowisk w partii i państwie bodaj tylko dwukrotnie (na spotkania Wielkiej Trójki w Teheranie w 1943 r. i w Poczdamie 1945 r.) wyjechał ze Związku Radzieckiego. Jego następcy postępowali odmiennie: Nikita Chruszczow, Leonid Breżniew i Michaił Gorbaczow wielokrotnie bawili w Polsce i innych „państwach bloku”.

Od 1956 r. ów układ podległości ulegał zresztą pewnym zmianom. Można było odwołać do ZSRR marszałka Rokossowskiego i radzieckich doradców, gdyż od 1955 r. istniał już Układ Warszawski i w inny nieco sposób zapewniono związki państw satelickich, w tym i PRL z moskiewską centralą. Ożywiono też wówczas, a *de facto* dopiero wtedy powołano do życia – formalnie utworzoną w 1949 r. – Radę Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Niezależnie od tego jak bardzo krytycznie oceniać by tę instytucję, jej reanimacja była korzystna dla państw członkowskich, które uprzednio w praktyce nie utrzymywały ze sobą wzajemnych stosunków gospodarczych. Zamiast stosunków wielostronnych do połowy lat pięćdziesiątych dominowały dwustronne: radziecko-polskie, radziecko-czechosłowackie, radziecko-węgierskie itd.

Począwszy od 1956 r. (naturalnie datę tę należy traktować dość umownie) uległy też

zmianie relacje między przywódcami ZSRR a kierownictwem PZPR. Bierut i Gomułka (do 1948 r.) byli dla Stalina wyłącznie wykonawcami jego poleceń. On był dla nich nauczycielem i mistrzem, oni – zwłaszcza Bierut – byli jego uczniami. Nie było nawet śladu układu partnerskiego, lecz pełne podporządkowanie radzieckiemu dyktatorowi. Stalin był najwyższym arbitrem i to on w ostatecznym rozrachunku decydował o wszystkim. To on był też rzeczywistym depozytariuszem władzy, którą Bierut sprawował z jego nadania i w – znacznym stopniu – w jego interesie. Bierut świecił odbitym blaskiem; był polskim „Stalinkiem”, ale nie polskim Stalinem, gdyż jego samodzielność była iluzoryczna!

Gdy I sekretarzem Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego został Nikita Chruszczow, stosunki z państwami satelickimi, w tym także i z Polską, zmieniły się nieco. Trudno powiedzieć, czy było to spowodowane różnicami mentalnymi i psychicznymi między Stalinem i Chruszczowem, czy też miało podkreślać różnice dzielące obu radzieckich przywódców, czy może spowodowane było ogólnymi zmianami w świecie, szczególnie wygasaniem „zimnej wojny”, czy może wreszcie wszystkie te czynniki i wiele innych tu nie wymienionych łącznie wpłynęły na taki stan rzeczy. Wszelako faktem pozostaje, że w odróżnieniu od swego poprzednika Chruszczow sporo podróżował po świecie, niejednokrotnie odwiedzając także i Polskę. Kontaktował się bezpośrednio z trzema kolejnymi I sekretarzami KC PZPR: Bierutem, Edwardem Ochabem i Władysławem Gomułką i – jak się wydaje – właśnie z tym ostatnim jego współpraca układała się najlepiej, choć trudno zapomnieć, iż w czasie dramatycznego spotkania w Warszawie w październiku 1956 r. Chruszczow nie szczędził mu impertynencji i dość długo nie chciał uznać w nim nowego szefa partii. Na marginesie warto przypomnieć, że Gomułka bywał niekiedy przedstawiany jako „narodowy komunista”, ten przywódca partyjny, który w 1948 r. przeciwstawił się Stalinowi, a w 1956 r. właśnie Chruszczowowi.

Radziecki przywódca nie żywił jednak do Gomułki z tego tytułu żalu i zdaniem wielu bezpośrednich obserwatorów ich spotkań na swój sposób nawet go faworyzował i wyróżniał wśród innych przywódców partii komunistycznych. Dość łatwo znaleźli wspólny język, gdyż wiele ich łączyło. Wydaje się, że Chruszczowowi na swój sposób imponowała „niezależność” Gomułki, to stałe podkreślanie przez niego roli i miejsca Polski we „wspólnocie socjalistycznej”, choć naturalnie można by się zastanawiać nad tym, dlaczego skłonny był to tolerować i uznawać. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych stosunki między PRL a ZSRR układały się tak dobrze, że gdy w październiku 1964 r. towarzysze odsunęli Chruszczowa od wszystkich funkcji partyjnych i państwowych, u Gomułki miała prawo pojawić się obawa o to, jak będzie się do niego odnosił nowy przywódca radzieckich komunistów, czyli Leonid Breżniew. Nie było wszak wcale wykluczone, że zechce on „obstawić” rywali Gomułki w kierownictwie PZPR i w stosunkowo niedługiej perspektywie czasu doprowadzić do zmiany na stanowisku I sekretarza KC PZPR.

Trzeba bowiem stale pamiętać, że choć formalnie wyboru I sekretarza dokonywano na zjazdach lub plenarnych posiedzeniach KC, to jednak nigdy nie dokonywało się to – jeśli już nawet nie bez woli, to na pewno bez przyzwolenia Moskwy. Byli tego świadomi i stale pamiętali o tym kolejni I sekretarze KC oraz ich potencjalni następcy. Powszechną więc praktyką było zabieganie przez poszczególnych działaczy PZPR o zapewnienie so-

bie jak najczęstszych bezpośrednich kontaktów z „towarzyszmi radzieckimi”, w tym zwłaszcza o „posłuchanie” u aktualnego gospodarza Kremla. Było też świadome tego społeczeństwo polskie, które np. w 1968 r. żartowało, że Mieczysławowi Moczarowi do zastąpienia Gomułki na stanowisku I sekretarza KC PZPR (wcale nie jest przy tym pewne czy istotnie to nie było wtedy celem „partyzantów”) zabrakło tylko jednego głosu poparcia – głosu Leonida Breżniewa. O znaczeniu i wadze poparcia Breżniewa był też przekonany sam Gomułka, który w końcu lat siedemdziesiątych Andrzejowi Werblanowi, kreślącemu tło i przyczyny kryzysu polityczno-społecznego z grudnia 1970 r., oświadczył obcesowo: „Co Wy mi tu opowiadacie, mnie zdjął Breżniew, gdyż zawsze otwarcie mówiłem, że on nie ma głowy do polityki”.

Faktem jest – co potwierdzają świadkowie tamtych rozmów – że stosunki Gomułki z Breżniewem nie układały się tak dobrze, jak z jego poprzednikiem. Niektórzy działacze partyjni utrzymują też, iż przynajmniej od roku 1968 Breżniew sukcesora Gomułki upatrywał w Edwardzie Gierku. Niezależnie od tego, że tego typu informacje mają to do siebie, iż są w praktyce nie do zweryfikowania, trudno zaakceptować taką upraszczającą złożone procesy społeczne i polityczne niemal spiskową wersję historii. Poparcie Kremla z pewnością było niezwykle ważne dla polskich komunistów, czasem mogło mieć nawet znaczenie decydujące, lecz nie był to jedyny czynnik wpływający na zmiany polityczne na najwyższych szczeblach władzy w PRL.

Wydaje się też jednak, że współpraca Breżniewa z Gierkiem jako I sekretarzem KC PZPR układała się lepiej niż z Gomułką. Gierek dość szybko zgodził się na rzeczy, na które jego poprzednik nie chciał przystać. Lata siedemdziesiąte – w Polsce łączone z okresem rządów Gierka – w potocznej pamięci zapisały się jako okres ogromnego przyspieszenia ekonomicznego: zarazem boomu inwestycyjnego, który porównywany może być chyba tylko z Planem Sześcioletnim, jak i wzrostu stopy życiowej szerokich kręgów społeczeństwa. Równocześnie wiąże się je z otwarciem polskiej gospodarki na świat i ożywionymi kontaktami z Zachodem, czemu sprzyjać mogły doświadczenia życiowe samego Gierka. Jest to oczywiście spojrzenie słuszne, lecz gubi ono z pola widzenia ważny element. Otóż za owo otwarcie na Zachód Gierek musiał zapłacić Związkowi Radzieckiemu określoną sumę. Najbardziej spektakularnym tego przejawem była decyzja (polska, nie narzucona przez ZSRR!) o budowie Huty „Katowice” wraz z szerokotorową linią kolejową prowadzącą do niej. Wiele osób uważa, iż Gomułka nigdy nie zgodziłby się na to i nie dlatego, że był „antyradziecki” – jak mu to czasem imputowali niektórzy towarzysze, ale dlatego, że uważałby to za niezgodne z polską racją stanu, tak jak on ją pojmował.

Nie wolno także zapomnieć, że to Gierek w 1974 r. odznaczył Breżniewa Krzyżem Wielkim Orderu Virtuti Militari, odznaczeniem przyznawanym w przeszłości narodowym bohaterom takim jak Tadeusz Kościuszko czy Józef Piłsudski. Dodać wypada, że w PRL nikogo więcej nie wyróżniono tym odznaczeniem. W latach siedemdziesiątych Wojsko Polskie stopniowo traciło swoją i tak daleko niepełną odrębność i autonomię w ramach Układu Warszawskiego, by u schyłku dekady *de facto* zupełnie stracić strategiczno-organizacyjną odrębność na wypadek ewentualnej wojny. To także była swoista cena za przyzwolenie Moskwy na większe otwarcie Polski na Zachód.

Kreml miał swoich faworytów wśród przywódców PZPR. Jednych darzono większym, innych – jak np. Mieczysława Rakowskiego – mniejszym zaufaniem. Zdarzyło się też i tak, w lutym 1981 r., że gdy premierem rządu PRL został gen. Wojciech Jaruzelski, to depezę gratulacyjną – jakby poza swoistym komunistycznym protokołem – przesłał mu osobiście Leonid Breżniew, a nie tylko premier Nikołaj Tichonow. Dziś gen. Jaruzelski często podkreśla, że zarówno z Breżniewem, jak i jego następcami: Jurijem Andropowem i zwłaszcza może Konstantinem Czernienką współpracowało się dość ciężko i dopiero objęcie władzy na Kremlu przez Michaiła Gorbaczowa, oznaczało w tym względzie przełom.

W stosunkowo niedługim czasie dał się on poznać światu jako zdeklarowany reformator, choć naturalnie nie wszyscy podchodzili do jego deklaracji i zapewnień z pełnym zaufaniem. System komunistyczny przeżył już jednak niejedną „odnowę” czy „odwilż”. Niemniej powszechnie uznano Gorbaczowa za pierwszego reformatora w bloku komunistycznym. Ale prawda historyczna i elementarna rzetelność nakazują, by przynajmniej postawić pytanie, kto w tandemie Gorbaczow – Jaruzelski w końcu lat osiemdziesiątych był nauczycielem-mistrzem, a kto uczniem? Oczywiście na obecnym etapie historycznego poznania możemy jedynie próbować udzielać intuicyjnych odpowiedzi, które w przeszłości być może ulegną weryfikacji, niemniej wiele wskazuje na to, że to polscy przywódcy, a szczególnie gen. Jaruzelski, dzielili się swoimi doświadczeniami z „radzeckimi towarzyszami”. Wydaje się, że radzieccy reformatorzy starali się wyciągnąć wnioski z tych doświadczeń i z wielką uwagą śledzili rozwój wydarzeń w Polsce w drugiej połowie lat osiemdziesiątych.

Powyższe rozważania na temat wzajemnych relacji między kolejnymi I sekretarzami KC PZPR a przywódcami KPZR mogą wydawać się komuś jałowe, wszak – jak powiedziano wcześniej – PRL przez cały czas swego istnienia była państwem niesuwerennym i podległym Związkowi Radzieckiemu. Jakie więc znaczenie dla historii Polski mógł mieć fakt, czy stosunki polsko-radzieckie w danym momencie układały się lepiej czy gorzej, skoro przez cały czas i tak nie były to relacje w pełni partnerskie? Otóż wydaje się, że nie było to takie zupełnie bez znaczenia, a pełna utrata zaufania na Kremlu mogła nieść za sobą daleko idące konsekwencje, o czym przekonali się w sposób najbardziej bolesny Imre Nagy i Aleksander Dubček, a w efekcie społeczeństwa węgierskie i czechosłowackie.

Zresztą kwestia niesuwerenności PRL sama w sobie stanowiła dla badaczy poważny problem. Trudno zapomnieć, że przecież PRL była w świecie powszechnie uważana za jedynego reprezentanta państwa polskiego, choć początkowo niektóre kraje nie zerwały stosunków dyplomatycznych z rządem w Londynie i nadal uznawały go za legalnego przedstawiciela ciągłości Rzeczypospolitej. W przypadku Stolicy Apostolskiej to uznanie zostało cofnięte dopiero w czasie pontyfikatu Pawła VI. Równocześnie Polska była członkiem rozmaitych organizacji międzynarodowych, a przede wszystkim Organizacji Narodów Zjednoczonych. Władze PRL uczestniczyły też w pracach Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Niewątpliwie więc Polska Ludowa była podmiotem na scenie międzynarodowej, a w każdym razie była nim w takim samym lub podobnym stopniu, co inne państwa Układu Warszawskiego. Z drugiej strony nie podobna

zapomnieć, że niemal zawsze na forum międzynarodowym PRL popierała Związek Radziecki. Jeszcze w 1984 r. w ślad za nim Polska zbojkotowała letnie Igrzyska Olimpijskie w Los Angeles, co było „zemstą” za bojkot w 1980 r. Olimpiady w Moskwie przez USA, RFN i szereg innych państw świata. Przez cały okres 1944–1989 polska racja stanu utożsamiana była z racją stanu ZSRR, chociaż – rzecz jasna – nie przez cały ten czas równie gorliwie.

Trzeba też pamiętać, że Polska pod rządami komunistów posiadała własną, choć mocno uzależnioną od Związku Radzieckiego armię, własną walutę, własne – choć nie pochodzące z rzeczywistych wyborów – instytucje administracji centralnej i terenowej (Sejm, Rada Państwa, Rada Ministrów, rady narodowe różnych szczebli, urzędy wojewódzkie, miejskie, dzielnicowe, gminne itd.), wreszcie takie atrybuty każdego państwa jak hymn, barwy narodowe i godło – w porównaniu do innych państw regionu – zmienne w stosunkowo niewielkim stopniu. Chciałbym w tym miejscu przypomnieć co szereg lat temu napisałem na temat państwa francuskiego z lat 1940–1942, to znaczy z okresu przed zajęciem przez Niemców tzw. strefy wolnej. Otóż zaryzykowałem wówczas stwierdzenie, że było ono może niepodległe, gdyż posiadało takie atrybuty „normalnego państwa”, jak własny rząd, na czele którego stał „bohater spod Verdun” marszałek Philippe Pétain, liczącą 100 tys. żołnierzy (jeśli nie liczyć wojsk pozostających w terytoriach zamorskich) armię rozejmową, prawie nienaruszoną działaniami wojennymi czwartą co wielkości flotę wojenną świata, cieszyło się dyplomatycznym uznaniem kilkudziesięciu państw świata, w tym m.in. USA, Stolicy Apostolskiej, a do lata 1941 r. także i ZSRR. Państwo to w wielu sprawach prowadziło odmienną od strefy okupowanej politykę społeczną, utrzymywało trójkolorowy sztandar i „Marsyliankę” jako hymn narodowy, ale zarazem nie było państwem suwerennym, gdyż w praktyce wszystkie kluczowe decyzje dotyczące polityki wewnętrznej, jak i międzynarodowej podejmowane były nie w Paryżu czy w Vichy, lecz w Berlinie.

Sądzę, że owo zestawienie (dobrze wiem, iż nie w pełni zasadne i dla wielu nawet „naciągane”) może być użyteczne w odniesieniu do PRL. Wydaje się, iż to również było państwo niepodległe, ale jednocześnie niesuwerenne. Skoro jednak zdecydowałem się na porównanie PRL do państwa francuskiego, to czuję się też w obowiązku zwrócić uwagę na różnice. Otóż przez cały okres istnienia państwa francuskiego istniała jego francuska alternatywa w postaci Wolnej Francji i Résistance, które umownie rzecz ujmując symbolizował gen. Charles de Gaulle. W przypadku PRL takiej alternatywy nie było, choć jestem w pełni świadom tego, że niektórzy ludzie mogą za nią uznać rząd i prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie. Jak już jednak wcześniej przypominałem, po cofnięciu im uznania latem 1945 r. przez mocarstwa, a w ślad za nimi zdecydowaną większość państw świata, władze RP na emigracji miały do odegrania przede wszystkim rolę symboliczną: dla świata zachodniego były wyrzutem sumienia, przypominały stale o sposobie rozwiązania „sprawy polskiej” w Jalcie, dla Polaków z emigracji i kraju (lecz nie ludźmy się, że dla wszystkich) były zaś depozytariuszem narodowej tradycji i symbolizowały ciągłość „prawdziwej”, niepodległej i nieujarzmionej Polski. Czy się to dziś komuś podoba czy nie przez blisko 45 lat na arenie międzynarodowej interesy polskie i polską (inna sprawa, czy zawsze i w jakim stopniu rzeczy-

wiecie polską?) rację stanu reprezentowały władze Polski Ludowej. Koniecznie jednak trzeba dodać, że z pewnością byli, i to zapewne dość liczni, obywatele PRL, którzy starali się żyć jakoby poza państwem uznawanym przez nich za nieswoje. Równie często można się spotkać z pojęciem „emigracji wewnętrznej”, ale kluczowe pytanie: czy i ewentualnie do jakiego stopnia w powojennej Polsce można było żyć poza PRL, jak dotąd pozostaje bez przekonującej i wyczerpującej zagadnienie odpowiedzi.

Gdy porównywałem PRL do państwa francuskiego z lat 1940–1944 zastanawiałem się, jakie inne państwa powołane do życia przez zwycięskich dyktatorów (Polska Ludowa została wszak stworzona z woli Stalina) mogłyby stanowić punkt odniesienia dla niniejszych rozważań. Po namyśle doszedłem do wniosku, że chyba najlepiej nadawałaby się do tego pozostające na podobnym poziomie rozwoju gospodarczego co Polska i podobnie jak ona legitymujące się tradycją katolicką dwa kraje słowiańskie powstałe z woli Adolfa Hitlera: Republika Słowacka księdza Jozefa Tiso i Niezależne Państwo Chorwackie Ante Pavelicia. Do tego typu porównań zniechęca jednak skrajnie wasalny wobec Berlina charakter pierwszego i ludobójczy drugiego z przywołanych tu reżimów. Poza tym Słowacja i Chorwacja zarówno przed wojną, jak i długi czas po wojnie (aż do początku lat dziewięćdziesiątych) wchodziły w skład większych organizmów państwowych: Czechosłowacji i Jugosławii. Republika Słowacka księdza Tiso i Niezależne Państwo Chorwackie były typowymi twórcami podboju i wojny, a tego samego – mimo wszystko – nie da się powiedzieć o Polsce Ludowej. Nawiasem mówiąc, w czasie dyskusji nad tym tekstem zwrócono mi uwagę, że może dla porównań PRL lepszym punktem odniesienia byłoby Królestwo Polskie z lat 1815–1830. Nie rozstrzygając tej kwestii, co zresztą bez gruntownych i wnikliwych studiów wydaje się niemożliwe, pragnę jedynie zwrócić uwagę na doniosłą rolę badań komparatystycznych, które prawdopodobnie okażą się pomocne, przy udzielaniu odpowiedzi na pytanie, czym była PRL?

Dotychczas zajmowałem się głównie fenomenem państwa PRL. Pora najwyższa zastanowić się nad drugim elementem, tzn. narodem i spróbować udzielić odpowiedzi na pytanie, czy powstał naród PRL-owski? Ilekroć zadaję to pytanie publicznie, spotykam się z mniej czy więcej gwałtowną reakcją i stwierdzeniami, że co najwyżej można mówić o społeczeństwie PRL, ale naród cały czas był i pozostał niezmiennie polski. Nim jednak przejdę do dalszych rozważań warto chyba sprecyzować, jak będę rozumiał tu pojęcie narodu? Raz więc jeszcze zajrzyjmy do cytowanego już II tomu *Słownik języka polskiego* z 1979 r., gdzie naród definiowany jest jako „trwała wspólnota ludzi utworzona historycznie, powstała na gruncie wspólnoty losów historycznych, kultury, języka, terytorium i życia ekonomicznego przejawiająca się w świadomości narodowej jej członków”.

Znów – niezależnie od tego, jakie budzi ona w nas sprzeczności czy wątpliwości – proponuję definicję tę potraktować serio i spróbować odnieść się do jej poszczególnych członków. Wszyscy chyba zgodzą się, że ogół obywateli (mieszkańców) powojennej Polski tworzył „trwałą wspólnotę ludzi utworzoną historycznie, powstałą na gruncie wspólnoty losów historycznych”. Naturalnie różni ludzie w tej wspólnocie odgrywali rozmaite role. Trudno też zapomnieć, że wspólnota ta została powołana do życia wbrew woli milionów Polaków. Niemniej choć oceniamy ją rozmaicie, faktem pozostaje, że

mamy wspólną historię półwiecza, jak nasi przodkowie mieli wspólną przeszłość przez minione tysiące lat. Chcę być przy tym dobrze rozumiany; to co piszę w żadnym razie nie ma służyć zamazywaniu różnic. Cały czas pamiętam, że w PRL jedni Polacy byli zamykani w więzieniach z powodów swoich przekonań politycznych przez innych Polaków. Obca jest mi filozofia głoszona w pewnych środowiskach, że wszyscy „umoczyli się” w PRL-u. Nawet jeśli tak by było (a tak nie jest!), to z pewnością nie wszyscy w takim samym stopniu i nie wszyscy w ten sam sposób, chyba że zgodzimy się z opinią, iż w takim samym lub podobnym stopniu „umoczyli się” wsadzający i wsadzani do więzień. Ale na takie stawianie sprawy nie ma zgody!

Co się tyczy terytorium Polski Ludowej, to koniecznie trzeba przypomnieć, że po utracie Kresów Wschodnich, w praktyce wszyscy Polacy – bez względu na dzielące ich różnice polityczne, socjalne, światopoglądowe – uważali przyłączenie ziem zachodnich i północnych za historycznie uzasadnione i moralnie słuszne. Dla pokoleń urodzonych zaś po wojnie, zwłaszcza na tych terenach, Wrocław i Szczecin są już od wielu lat miastami tak samo polskimi, jak Kraków czy Warszawa, a jakimi dla ich rodziców i dziadów były też Wilno czy Lwów. Czy się to komuś podoba czy nie III Rzeczypospolita odziedziczyła kształt terytorialny właśnie po PRL. I choć konstatacja ta może budzić sprzeciwy ze strony „radykałów”, to przecież trudno nie zauważyć, że i po odzyskaniu wolności żadna poważna siła polityczna w Polsce nie podnosi hasła rewizji granicy na wschodzie, niezależnie od tego, czy byłoby to, czy też w ogóle nie było realne. Miliony Polaków urodzonych na Kresach Wschodnich i po wojnie zamieszkujących terytorium między Bugiem i Odrą, nawet jeśli nigdy nie pogodziło się z utratą swoich rodzinnych stron, to przecież podobnie jak miliony Niemców pochodzących ze Śląska, Pomorza, Warmii i Mazur, musiało zaakceptować powojenne realia.

Co do tego, że mieszkańców powojennej Polski łączyło życie ekonomiczne, nierzadko zresztą w sposób niezwykle brutalny ich doświadczając (np. w czasie tzw. wymiany pieniędzy w październiku 1950), nie trzeba chyba nikogo przekonywać. Myślę nawet, że łączyło ich ono mocniej niż w pluralistycznych demokratyczno-liberalnych państwach o gospodarce rynkowej. Wszak w Polsce Ludowej, gdzie cała sfera życia ekonomicznego podporządkowana była pryncypiom ideologicznym i politycznym, najmniejsze nawet „wahnięcie” w tym względzie miało swoje przełożenie na życie gospodarcze, a to z kolei nie pozostawiało bez wpływu na poziom życia szerokich kręgów społeczeństwa.

Wreszcie kwestia języka i kultury PRL-owskiej: czy coś takiego w ogóle powstało? Ależ oczywiście, że tak! Czymże bowiem innym niż językiem PRL-owskim była znana nam z artykułów wstępnych i tasiemcowych przemówień nowomowa. W ciągu minionych 45 lat ukształtował się specjalny język, czy może nawet dwa języki. Obok nowomowy był to bowiem specyficzny język ludzi starających się „żyć obok”. W języku tym mieściły się takie np. wyrażenia jak „zdobyć mięso”, „skombinować coś”, „wystać w sklepie”. Językowi temu często towarzyszyła daleko posunięta destrukcja świadomości ekonomicznej i przeświadczenie, że tak naprawdę to bardzo niewiele zależy ode mnie samego.

Język PRL-owski miał wielką siłę i powodował np., że niemal wszyscy ludzie bez

względem na wykształcenie, wiek, płeć, itd. bez chwili zastanowienia się tłuszcz pochodzenia roślinnego nazywali „masłem roślinnym”, choć była i jest to po prostu margaryna. Często przy tej okazji przywołuję bardziej drastyczny przykład kreatywnej roli języka PRL. Jak to możliwe, że miliony nierzadko mądrych i uczciwych osób strzelanie do ludzi z karabinów maszynowych bądź atakowanie ich czołgami i opancerzonymi transporterami nazywa „wypadkami” czy „wydarzeniami” i nie zadaje sobie trudu nazywania tego własnymi słowami: rewolta?, bunt?, powstanie?, rewolucja? Owo bezrefleksyjne i bezkrytyczne przenoszenie rozmaitych wyrażań przejętych z języka oficjalnego, a tam mających do odegrania konkretną rolę propagandową, to jedna z głównych cech języka PRL-owskiego w jego potocznej odmianie. Nie jestem wszakże językoznawcą i pragnę jedynie zasygnalizować sam problem.

Również w sferze obyczajów minione 45 lat zaznaczyło się wyraźnie. Można by długo przywoływać przykłady „elegancji” czy „dobrych manier” w wydaniu PRL-owskim, lecz z braku miejsca chcę zwrócić uwagę na tylko jedną rzecz. Otóż – jak wiadomo – jedną z cech konstytutywnych systemu był szeroko rozumiany antyklerykalizm. Zjawisko to przybrało jednak także dość groteskowe objawy, gdy – zwłaszcza wśród kadry Wojska Polskiego i pracowników MSW – zaczęto na dość szeroką skalę lansować świeckie obrzędy nie tylko w wypadku ślubu. Te świeckie obrzędy również należą do dziedzictwa PRL.

Czy zatem można powiedzieć, że w ciągu tych 45 lat ukształtował się nowy naród PRL-owski? Czy znaczy to, że nie jesteśmy rodakami Jana Kochanowskiego, Marii Curie-Skłodowskiej czy Jana Matejki. Czy należy rozumieć, że język polski uosabiają np. Adam Mickiewicz, Henryk Sienkiewicz czy Stefan Żeromski, zaś język PRL-owski, dajmy na to, Władysław Machejek, Stanisław Ryszard Dobrowolski czy Józef Ozga-Michalski? Pokusa odpowiedzi twierdzącej jest niemała, ale nie jestem pewien, czy byłaby to odpowiedź prawdziwa. Na pewno w powojennej Polsce zaszła dość daleko posunięta transformacja społeczeństwa, na co wpływ miały i migracje ludności, i awans cywilizacyjny milionów głównie młodych ludzi, i umasowienie kultury, w tym szerszy dostęp do słowa drukowanego, efekt likwidacji analfabetyzmu i wiele jeszcze innych czynników, lecz nie jestem pewien, czy można mówić o powstaniu nowego narodu. Byłbym tu ostrożny i ograniczę się do stwierdzenia, że choć w tkance narodu zaczęły zachodzić bardzo poważne zmiany, to chyba jednak – także ze względu na ograniczony czas tego „eksperymentu” – nie można mówić o ukształtowaniu się nowego, PRL-owskiego narodu. Myślę także, że proces powstawania narodu PRL-owskiego nie zaszedł tak daleko jak proces budowania narodu radzieckiego (tak, tak narodu radzieckiego, dla którego ojczyzną był Związek Radziecki) czy ernerowskiego w odniesieniu do mieszkańców Niemiec Wschodnich. Jest to jednak tylko konstatacja oparta na intuicji, w przyszłości wymagająca naukowej weryfikacji.

Trzeba także dodać, że naród polski i jego tradycyjne wartości przetrwały jakby w zamrożeniu w niektórych środowiskach emigracyjnych i krajowych. Byli wszak, i to wbrew szeroko rozpowszechnionym opiniom nie było ich wcale tak mało, ludzie impregnowani na komunizm, socjalizm, na PRL z całym jej bagażem. W jakimś stopniu depozytariuszem tych tradycyjnych wartości był również Kościół katolicki. W sumie

udało się zachować dla potomnych więcej niż jeszcze 15 czy 20 lat temu można było sądzić, iż uda się uratować.

Jeszcze może jedna uwaga dla skomplikowania i tak mocno już zamazanego obrazu. Otóż pewna kategoria ludzi znajdowała się w czasach Polski Ludowej jakby pod presją z dwóch stron. Można sobie dość łatwo wyobrazić, że gdy kardynał Karol Wojtyła został wybrany papieżem, to działacz PZPR cieszył się z tego faktu jako członek narodu polskiego („nasz, polski papież”), ale zarazem jako partyjny aktywista miał do tego wydarzenia mniej entuzjastyczny stosunek.

Na zakończenie tego tekstu, który nie jest niczym więcej jak garścią moich własnych przemyśleń i refleksji, pragnę jeszcze raz powtórzyć, że w żadnym razie nie pretenduje on do wyczerpania tematu. Stawiałem sobie znacznie mniej ambitny cel: chciałem podzielić się własnymi przemyśleniami i spróbować zaprosić zawodowych historyków do poważnej dyskusji na temat tego, czym była PRL?